Zeszyt 10. Lwów dnia 10. Kwietnia 1879. **Rok I.**

STRZECHA OJCZYSTA

PISMO DLA RODZIN POLSKICH.

PRENUMERATA
kwartalnie 1 złr. 50 ct. = 3 mark.

WYCHODZI
dnia 10go, 20go i 30go każdego miesiąca.

W. MANIECKI
Wydawca i odpowiedz. za Redakcją

Prenumeratę i inseraty przyjmuje księgarnia F. H. Richtera, plac Maryacki. hotel europejski.

ZŁAMANE SERCA.

Powieść

PRZEZ AUTORA „CHORÓB GALICJI.“

XXIX.

(C. d.) Lato w tym roku nadspodziewanie gorące miało się ku schyłkowi, gdy pan Wybicki pożegnawszy znajomych, wyruszył z dziećmi koleją strasburgską. Zamiarem jego było odpocząć dzień lub dwa w Monachjum, tyleż we Wiedniu, spędzić tydzień w Krakowie, zkąd już końmi chciał do brata wyjechać. Aby panu Ludwikowi tem większą sprawić niespodziankę, nie zawiadomił go ani słowem o swoim powrocie do Europy. Co więcej, nawet tych w Paryżu, którzy mieli bądź krewnych, bądź znajomych w Radomskiem, prosił na odjezdnem, by jakiś czas o nim do kraju nie pisali. Z serca pragnął, aby niespodzianka była zupełna.

Na wyjezdnem z Monachjum, właśnie gdy konduktor po drugiem dzwonieniu zaczął wagony zamykać, Wandzia, która zawsze siadywała przy oknie, gdyż ją każda miejscowość niezmiernie zajmowała, postrzegła w tłumie osób stojących na peronie, jakiegoś jegomości niskiego, lecz jeszcze młodego, który biegał w kierunkach rozmaitych, jakby kogoś szukał.

— Ten pan w popielatem ubraniu — przemówiła do ojca — gotów się spóźnić. Widzi tatko jak biega?

Ojciec wyjrzał oknem.

— Zapewne szuka posługacza z rzeczami — odpowiedział. — Już to ja wolę zawsze być wcześniej na kolei, aby potem nie mieć kłopotu.

Nieznajomy znalazł nareszcie posługacza, wyrwał mu z rąk zawiniątko na rzemykach, pudełko skórzane z wysokim kapeluszem i torbę z płótna angielskiego, pobiegł cwałem do wagonu naszych znajomych, a stanąwszy przed ich drzwiczkami, prosił konduktora, by mu otworzył. Czas był najwyższy; w chwili bowiem gdy konduktor drzwiczki otwierał, na peronie trzeci raz zadzwoniono. Nieznajomy obładowany pakunkami, znalazł się w coupé między ojcem a córką, obok której Bolcio siedział. Po drugiej stronie rozmawiali jacyś dwaj Niemcy.

— Chwała Bogu, żem nie został! — przemówił do siebie po polsku. — Ale jak ja tu się pomieszczę? — dodał w koło się rozglądając.

Ojciec i dzieci spojrzeli po sobie.

— Pomieścimy się, pomieścimy — rzekł pan Wybicki także po polsku — niech pan siada... wszak jest nas tylko sześć osób, a miejsc mamy ośm.

Nieznajomy zdziwiony, że w miejscowości tak czysto niemieckiej jak Monachjum, zastał kogoś co po polsku mówił, sięgnął ręką do kapelusza, ale go zdjąć nie mógł, gdyż mu w tem przeszkadzały pakunki, ktore w rękach trzymał.

— Bolciu! — przemówił znowu pan Wybicki do syna — pomóż panu położyć torbę w plecionkę na górze.

— Padam do nóżek panu dobrodziejowi! — zawołał dziękując nieznajomy. — Pan dobrodziej bardzo łaskaw!

Bolcio spełnił rozkaz; Wandzia zaś siadła obok ojca, aby nowoprzybyłemu zrobić miejsce na przeciwległej kanapie.

— Całuję rączki! — zawołał uszczęśliwiony taką grzecznością. — Jakem poczciw, tysiąckrotnie rączki całuję!

Umieściwszy swoje pakunki w dobrem miejscu i na widoku, nowy towarzysz podróży ukłonił

się kilkakrotnie ojcu i córce, usiadł naprzeciw nich, zdjął kapelusz i zaczął pot ocierać. Wandzia, która wszystko badać lubiła, prędko mu się przypatrzyła.

Nieznajomy miał lat najwięcej trzydzieści pięć; wzrostu był niskiego, prawie małego, zarost na twarzy miał rzadki i płowy, oczy siwe, cerę białą, bez krwi i życia, pomiętą, pomarszczoną, a głowa jego, mimo lat młodych, była prawie całkiem łysa. Tylko w pośrodku nad czołem unosił się kosmyk rzadkich włosów, przypominający ofiarny płomyk westalek, widywany na obrazach starożytnych. W ruchach był dosyć niezgrabny, w ukłonach przesadny, a w uśmiechu tak niemiły, że gdy się uśmiechał, każdy mógł to wziąść prędzej za wykrzywienie, niż za objaw zadowolenia. Ubior jego był przyzwoity i wskazywał człowieka ze stanu średniego. Gdy czoło już otarł i chustkę schował do kieszeni, powiódł wzrokiem po towarzyszach podróży, najdłużej zatrzymał wzrok na Wandzi, chociaż gdy ona nań popatrzyła, natychmiast oczy w inną stronę zwrócił, potem chrząknął i rzekł:

— Bardzo jestem uszczęśliwiony z tak miłego spotkania... Jakem poczciw! nie spodziewałem się, że tu Polaków zastanę.

— I mnie to cieszy prawdziwie — odparł pan Wybicki. — Podróż z nieznajomymi jest bardzo nudną, gdy przeciwnie z osobami miłemi staje się rozrywką.

Nieznajomy wykrzywił usta na dowód, że się uśmiecha.

— Pan dobrodziej bardzo łaskaw — rzekł — jakem poczciw, zbyt łaskaw! Czy wolno wiedzieć, jak daleko państwo jadą?

— Najbliższem miastem, w którem staniemy, będzie Wiedeń. Ztamtąd jedziemy dalej.

— Jakem poczciw, ślicznie się układa! — zawołał, rzucając na Wandzię ukośne spojrzenie. — Ja także jadę do Wiednia, będę więc korzystał z miłego towarzystwa. Jadąc do Monachjum, gdzie miałem kilka ważnych spraw do załatwienia, cały czas nie słyszałem słowa polskiego, jakem poczciw, ani jednego słowa.

— Pan zapewne z Galicji? — zauważył pan Wybicki.

— Tak jest... a z czego też to odgadł pan dobrodziej?

— Domyśliłem się z kilku frazesów pańskich, jak „całuję rączki“ i „padam do nóżek“, których w Królestwie nikt nie używa.

— U nas natomiast jest to powszechnie używane, jakem poczciw, należy to nawet do tonu lepszego. Ale kiedyśmy się już tak poznali, że wiemy zkąd pochodzimy, więc może pan dobrodziej pozwoli, że mu się przedstawię. Jestem Mateusz Czudek, doktor obojga praw, adwokat ze Lwowa.

— A ja Stanisław Wybicki z Radomskiego, to są zaś moje dzieci: Wanda i Bolesław.

— Jeżeliby pan dobrodziej — rzekł adwokat — miał kiedy interesa we Lwowie, proszę łaskawie zgłosić się do mnie, a jakem poczciw, wszystko prędko i delikatniutko załatwię. Niech pan dobrodziej tylko rozkazuje, mieszkam przy placu Marjackim... Oto mój adres.

To mówiąc podał Wybickiemu bilet wizytowy, na którym tenże przeczytał:

Dr. Mateus Czudek, Gerichts- und Landes-Advocat in Lemberg.

— Bardzo panu mecenasowi dziękuję, ale ja w ogóle nie mam żadnych interesów.

— Kto to wie, co się stać może... Jakem poczciw, tego nikt nigdy nie wie. Może jakie kupno w Galicji, ziemia teraz u nas bardzo tania... może jaka dzierżawa. A właśnie mam kilka, jakem poczciw wyśmienite!

Adwokat mówiąc to, chciał Wybickiego wybadać czy jest biedny, czy bogaty, ale ten jakby nie zważał na jego słowa, oglądał bilet ciekawie.

— Czemu to pan masz bilety niemieckie, nie polskie? — zapytał.

— Bo u nas panie dobrodzieju wszystko po niemiecku, i w szkole i w urzędzie, jakem poczciw, po niemiecku. Zresztą jeździłem do Monachjum, między samych Niemców, w sprawie jednego z moich klientów, więc trudno było brać bilety polskie. Ale w domu ja używam polskich, jakem poczciw polskich!

Adwokat mówił prawdę. W owych czasach, a działo się to w roku 1859, w rzeczy samej w Galicji językiem urzędowym i naukowym był jeszcze niemiecki, a co do biletów, to p. Czudek używał raz polskich, raz niemieckich, czasem bowiem wypadało mu być Polakiem, a czasem Niemcem.

Do rozmowy ojca z adwokatem Wandzia wcale się nie mięszała, z czego bardzo była zadowoloną. Ten człowiek nie zrobił na niej wrażenia przyjemnego. Są ludzie, od których nas coś odtrąca, mimo że wszelkiemi sposoby starają się nam przypodobać; tak i ją coś odtrącało od tego prawnika wymokłego, chociaż ilekroć nadarzyła się sposobność, rzucał jej bardzo czułe spojrzenia i mało sto razy powiedział w ciągu podróży „całuję rączki.“

Gdy na jakimś przestanku, Wandzia kupując owoce przemówiła do ojca po angielsku i on tym samym odpowiedział językiem, Dr. Czudek aż podskoczył na kanapie. Język angielski był przed laty dwudziestu taką jeszcze w Polsce rzadkością, ze władali nim zaledwie ci z ludzi najmajętniejszych, którzy bardzo staranne otrzymali wychowanie. Ci państwo — myślał tedy adwokat — muszą należeć do najwyższej arystokracji. Ich wyglądanie świadczy o tem... ręka u tej panienki

jak u dziecka... nóżki wprawdzie nie widać, lecz musi być także mała... mowa zaś ani o tem wątpić pozwala. Jaka szkoda, że oni w Galicji nie mieszkają! Miałbym klienta nie lada... Szkoda, jakem poczciw, szkoda!

Zdziwienie mecenasa było jeszcze większe, gdy Wandzia i Bolcio zaczęli rozmawiać po hindustańsku, boć od krajowców w Indjach i tego języka łatwo się nauczyli; a gdy na zapytanie ojca córka coś po polsku odpowiedziała, prawnik o mało nie upadł z kanapy. Chociaż Wandzia po polsku dobrze mówiła, jej akcent nie był czysto polskim; w dodatku popełniała czasem takie błędy, które od razu świadczyły, że się w Polsce nie wychowywała. Więc i to było dowodem, że byli bogaci!

Dr. Czudek dałby był niesłychanie wiele, gdyby mógł się dowiedzieć jak rozległe są majątki państwa Wybickich. Wprawdzie teraz nic by mu nie przyszło z tego, lecz kto wie, czy nie zdałoby się to na później... Zresztą są ludzie na to stworzeni, aby możnym ciągle się kłaniali, a do tych ponoś Dr. Czudek należał. Zginanie karku dla wielu nieprzyjemne, było dlań rozkoszą prawdziwą, to też jedynie wtedy czuł się obrażonym, jeżeli przypadkiem kłaniał się ludziom, którzy według jego przekonania nie byli tego warci, a więc takim, którzy byli biedni. Pomyłkę tego rodzaju, poczytywał za największą obelgę samemu sobie wyrządzoną, za prawdziwą obrazę honoru. O ile doświadczeniu mógł zaufać, nie przypuszczał, by się tym razem mylił. W osobach, które z nim jechały, wszystko świadczyło o ich dostatku i najlepszem wychowaniu, a ponieważ dzieci p. Wybickiego wychowywały się za granicą, bo nawet po polsku nie zupełnie czysto mówiły, więc najmniejszej nie ulegało wątpliwości, że musiał to być miljoner. Aby w tem przekonaniu całkiem się utwierdzić, zagadywał Wybickiego ze stron rozmaitych i w sposoby przeróżne, ale wypytywany umiał zawsze zbyć go niczem. Nie chciał on mówić, zkąd właściwie powracał z dziećmi, aby Dr. Czudek nie oglądał ich potem za nadto ciekawie i nie męczył wypytywaniami.

W Peszcie, gdzie celnicy austrjaccy przetrząsają pakunki podróżnych, adwokat tak długo krążył niby przypadkiem, od niechcenia, dopóki nie znalazł się przy kufrach naszych znajomych, których było pięć, a wszystkie duże, żelazem okute, angielskie. Na jednym dostrzegł adres jakiegoś hotelu paryskiego, na dwóch innych właściciel hotelu „Beirischer-Hof“ w Monachjum kazał przylepić swoje etykiety, na dwóch zaś ostatnich odczytał najwyraźniej „Bombaj“. Dr. Czudek nie należał do wielkich jeografów, wszakże trzymając z obowiązku lwowską gazetę urzędową, która nazywała się wówczas *Lemberger-Zeitung*, czytywał w niej prawie codzień artykuły z Bombaju, wiedział zatem, że to miasto w Indjach leży. Że po zrobieniu tak wielkiego odkrycia mecenas nie skamieniał, to istotnie coś nadzwyczajnego. Oni z Indyj wracali, a on ani przypuszczał coś podobnego! Widocznie ojciec z córką bawili tam dla tego chłopca, który musi być bardzo słabowity. Teraz wracają do domu. Taka podróż, to nie żarty, ile ona kosztowała!... Moje oko mnie nie myli... muszą być miljonerzy!

Po zrobieniu tego odkrycia, Dr. Czudek z takim już był szacunkiem dla swoich towarzyszów podróży, że co dwa słowa kłaniał się uniżenie i o nic więcej nie zapytywał. Wybickiego zaczynała nudzić ta grzeczność — Wandzię niecierpliwić. Nareszcie przyjechali do Wiednia. Tu adwokat oddał swoje rzeczy posługaczowi, ich zaś pakunki, mimo protestów pana Wybickiego, chwycił w obie ręce i przez tłum torując drogę swoją osobą, wyprowadził nowych znajomych na peron, gdzie w mgnieniu oka znalazł im powóz dwukonny.

Wybicki podziękował za uprzejmość, żałując, że się nie będzie mógł odwzajemnić, Dr. Czudek polecał się „łaskawej pamięci“ i kilkakrotnie zapytywał w jakim staną hotelu, czego jednak pan Wybicki bądź nie słyszał, bądź słyszeć nie chciał, a Wandzia siadając do powozu odetchnęła wolniej, jakby jej kamień spadł z piersi.

— Widać jakiś człowiek poczciwy — przemówił ojciec — tylko trochę za grzeczny. Ta jego uprzejmość nadzwyczajna zaczęła mnie już męczyć, zapewne dla tego, że zapłacić za nią nie mogłem, a odsłużyć się nie było jak i kiedy.

— Mnie zaś ona przestraszała — rzekła Wandzia.

— Przestraszała?

— A tak, tatku! Nie wiem czemu, lecz ci ludzie tak bardzo grzeczni i uniżeni, robią na mnie wrażenie przykre.

— Rozumiem cię, moje dziecię... Anglicy są sztywni, zimni, między nimi trudno się spotkać z taką grzecznością, więc czasu nie miałaś do niej przywyknąć i w niej się rozmiłować.

— Przeciwnie tatku, chociaż do niej nie przywykłam, ja ją bardzo lubię, boć do rzeczy pięknych, aby je ocenić i pokochać nie potrzeba się przyzwyczajać... Serce i umysł lgną ku nim natychmiast. O ile jednak mogłam już dotąd zauważyć, grzeczność jest rozmaita... Francuzi i Polacy, których poznaliśmy w Paryżu, byli bardzo grzeczni, a przecie żaden z nich nie był tak uniżonym po lokajsku. A czy tatko sobie przypomina niektórych parjów w Indjach... jak to oni swoim panom do nóg zawsze padają, chociaż nienawidzą ich z całej duszy. Każdy z nich chętnie by nawet swego chlebodawcę zamordował, gdyby się tylko nie lękał, że mu za to głowę utną lub go przywiążą do wylotu armaty.

— Indje a Europa, moja Wandziu, to dwa różne światy. Tam inni ludzie, a tu inni.

— Mnie natomiast zdaje się tatku, że ludzie mniej więcej wszędzie do siebie podobni. Wracając do tego pana, muszę wyznać, że gdym patrzyła na jego ukłony i uśmiechy, to mi się zdawało, jak gdyby niemi pokrywał złe zamiary, ukryte na dnie jego duszy.

— I mnie się tak samo zdawało — wtrącił Bolcio niespodziewanie. — On mi się także nie podobał. Chwała Bogu, że go już nie ma.

Przemówienie Bolcia, który w drodze ciągle milczał, jakby w tem co się dokoła niego działo, najmniejszego nie brał udziału, było dla ojca tak doniosłem i stanowczem, że w obronie adwokata słowa już nie przemówił. Kto wie — pomyślał — czy dzieci nie mają słuszności! Przeczucie więcej odgaduje w takich wypadkach, niż rozum najgłębszy.

XXIX.

Księżyc w pełni, duży, czerwonawy, istny prałat między gwiazdami, które jak skromni klerycy, księża i mnisi rozpierzchły się po świątyni pańskiej, zawisnął w Krakowie nad gotycką wieżą kościoła Marjackiego. Noc była sucha, październikowa, trochę już chłodna.

W mieście ruch ustawał, turkot kół coraz rzadziej odzywał się w ulicach; w kamienicach zamykano bramy, we wielu oknach światła gasły i ostatni przechodnie szybko biegli do domów. Na wielkim placu przed kościołem Marjackim robiło się głucho, bezludno.

Na zegarze wybiła dziesiąta. Gdy ostatnie uderzenie przebrzmiało, w narożnem oknie hotelu, stojącego tuż przy kościele, pojawił się cień postaci niewieściej. Była to Wandzia. W czarnej sukni z białym pasem u dołu, po matce bowiem żałoby jeszcze nie zrzuciła, lubo od jej śmierci minęło przeszło półtora roku, stała przy zamkniętem oknie sama jedna, a oparłszy białe czoło o szybę, spoglądała na księżyc płynący po stropie szarawym i na tę wieżę, która z modlitwami wiernych w niebo strzelała. Patrzyła długo, może godzinę, póki się jej oko nie załzawiło.

Tydzień temu z ojcem i bratem przyjechała do Krakowa. Gdy minąwszy granicę, ojciec na widok pierwszych chat polskich, słomą pokrytych, w głos się rozpłakał, ona także się rozpłakała, chociaż te chaty obudzały w niej zaledwie wspomnienie dawnych opowieści, gdy tam, nad Gangesem, ojciec malował im żywem słowem swoje strony, ucząc je szczerze kochać. Ona tych chat nigdy nie widziała, one nawet piękne nie były, a jednak ucieszyła się ich widokiem i sercem do nich przylgnęła. Pola nie miały tej roślinności co indyjskie, zwłaszcza teraz w październiku, gdy zbiory były pokończone; w lasach nie świegotało ptactwo różnobarwne; zamiast słoni bogato przystrojonych, widać było konie w skromnej uprzęży; zamiast nieba palącego, nakrywał ją firmament mglisty i smutny — a przecie jak niedawno cywilizację i kulturę europejską, tak teraz ten świat od razu zrozumiała i pokochała. To była jej ziemia, na której się wprawdzie nie urodziła, lecz do której wróciła jak do swojej.

Stojąc przy oknie, myślała o Bolciu. We Wiedniu ojciec powiózł dzieci na Kahlenberg, aby im pokazać miejsce, zkąd Jan III. rzucił się na Turków, oblęgających stolicę Habsburgów. Chłopcu tak się tam podobało, że kilkakrotnie prosił ojca, by dłużej zostali. Ojciec uradowany, że synowi przecie raz w życiu coś się podobało, został do wieczora i ani mu na myśl przyszło uważać, że w tym dniu wiatr był dosyć chłodny. Bolcio chociaż miał ciepłe ubranie, przeziębił się i kaszleć zaczął. Lekarz dał mu coś na kaszel, który do trzech dni ustał, lecz zdrowie chłopca zaczęło szybko się pogarszać tak dalece, że gdy do Krakowa przyjechali, musiał położyć się do łóżka. Dr. Dietl, zażywający podówczas rozgłośnej sławy w Krakowie, przyszedł niewłocznie na prośbę Wybickiego, wszakże zbadawszy stan chorego, nie zrobił mu wielkich nadziei. Chłopiec miał już początek trawiącej gorączki. Nieszczęśliwy ojciec przyjął tę wiadomość z rezygnacją chrześcijanina. Nie płakał, nie narzekał, ale patrząc w blade rysy syna, prosił Boga, by go przy życiu zachował. Codzień rano wychodził do kościoła Marjackiego i tam pełen skruchy błagał Stwórcę, by mu syna nie zabierał. Powróciwszy, siadał przy łożu chorego, a wtedy Wandzia biegła się modlić. Raz gdy cała zapłakana podniosła się z posadzki kamiennej, spostrzegła nieopodal mężczyznę, który stojąc pod kolumną, zdawał się jej uważnie przypatrywać. Był to człowiek młody, słuszny, smukły, włos miał jasny, czoło szerokie, nos pociągły o rysach delikatnych, oczy szafirowe. Niewielki a jasny wąsik, układający się wdzięcznie nad małemi ustami, uzupełniał fizjognomię może nie tyle piękną, co wyrazistą. Wandzia objęła go jednem spojrzeniem, lecz gdy jego oczy spotkały się z jej oczyma, zakłopotana, sama siebie nie rozumiejąc, spuściła je ku ziemi i jakby ją strach ogarnął, prędko ku drzwiom się zwróciła. Idąc myślała o nieznajomym i ciągle jej się zdawało, że za nią patrzy. Przy samych drzwiach zapomniawszy, że przyzwoitość surowo tego zabrania, pół twarzą się obracając, rzuciła wzrok za siebie. On istotnie spojrzeniem ją odprowadzał. Zapłoniona wybiegła z kościoła i dopiero na wschodach, prowadzących do ich mieszkania, ochłonęła ze strachu. Wróciwszy do domu wyrzucała sobie, że bez powodu tak się przelękła i niepotrzebnie oglądała się w kościele. Co ten młody człowiek

sobie pomyślał! Gotów był przypuścić, że ona oglądnęła się, by jego zobaczyć, gdy tymczasem on ani był w jej myśli!... Przecie wcale go nie znała...

Wieczorem, gdy ojciec wyszedł do miasta, żeby odszukać kilku starych znajomych, o których wiedział, że w Krakowie przebywają, a brat usnął, Wandzia przysłoniwszy lampę, wyszła do swojego pokoju. Tu stanąwszy przy oknie spoglądała ciągle na wieżę kościoła i chociaż o Bolciu myślała, obraz nieznajomego odnawiał się uporczywie w pamięci. I rada była wiedzieć, jak się nazywał, zkąd pochodził, czy wolnym był, czy żonatym. Co do tych ostatnich wątpliwości, to nie były one znowu tak wielkie, by ich sama usunąć nie mogła. O ile jej się zdawało, młody ten człowiek był jeszcze wolny, żonaci bowiem nigdy tak nie wyglądają... Nie była również ciekawa wiedzieć, czy był dobry, jedno bowiem wejrzenie powiedziało, że tak jak on, tylko dobrzy ludzie wyglądają. Ale czemu myśli o nim, co on ją obchodzi?

Takie sobie zadając pytania, myślała dalej o matce, o ojcu, o bracie i już jej się zdawało, że obraz rano widziany zatarła w pamięci, gdy niebawem powrócił w kształtach wybitniejszych. Pierwszy raz dopiero wydarzyło się Wandzi, że ją ktoś sobą tak prześladował...

Zapatrzona w szczyt wieży, stała długo, może godzinę, dopóki się jej oko nie załzawiło.

— Wandziu! Wandziu! — dał się słyszeć głos brata.

Bez tchu wbiegla do pokoju przyległego.

Bolcio siedział na łóżku i oczy miał otwarte, wszakże zdawało się, jak gdyby nic nie widział. Skóra na jego twarzy tak już była przejrzysta, że bez trudności można było pod nią wszystkie żyłki policzyć; ręce wychudzone bezwładnie zwisały, całe wyglądanie znamionowało istotę nieszczęśliwą, która po to na ten świat przyszła, by wróciwszy do duchów w górze krążących, powiedzieć im, że do tej ziemi nie mają czego tęsknić.

— Co ci jest Bolciu? — zapytała Wandzia za rękę go biorąc.

— Czy słyszysz te dzwony... te dzwony!

— Boże! — zawołała biedna dziewczyna — on znowu zaczyna majaczyć. Bolciu! uspokój się, na wszystko błagam cię Bolciu, uspokój się!

— A słyszysz spiewy księży? Jakie żałobne!

Wandzia ręce załamała.

— A ten zapach kadzidła i świec woskowych... jaki on nie miły! Czujesz Wandziu, jaki on niemiły?...

— Na wszystko cię zaklinam Bolciu! uspokój się... Na pamięć naszej matki!

— Nasza matka.. a czy ty ją widzisz, Wandziu? Tam, tam na szczycie wieży, stoi w tej oto koronie i wzywa mnie do siebie... Muszę pójść do niej, bo ona sama... a was tu będzie dwoje, ty i tatko... Nie wstrzymuj mnie Wandziu, puść mnie!

— Boże mój Boże! — zawołała siostra do ust choremu rękę przykładając — nie mów tak Bolciu, bo ja omdleję!

— Dobrze, dobrze Wandziu... ja już będę cicho, mnie teraz lepiej... Nie martw się Wandziu, ja przecie muszę pójść do mamy... muszę!

Głębiej westchnął, opadł na poduszki i usnął głęboko. Wandzia łzami zalana uklękła przed jego łóżkiem. Po dwakroć ziściły się jego przepowiednie — czy tym razem także się ziszczą? Tak zapłakaną i klęczącą zastał ojciec.

Choroba Bolcia dziwną była zaiste! Nazajutrz w południe tak mu się polepszyło, że wstał, ubrał się i kilka godzin chodził po pokoju, a po upływie trzech dni następnych za pozwoleniem lekarza, który osądził, że był dzień bardzo ciepły i suchy, wyjechał z ojcem i siostrą na wolne powietrze. Przed Wawelem konie stanęły. Chłopiec podtrzymywany z jednej strony przez ojca, z drugiej przez Wandzię, wszedł zwolna na górę, a znalazłszy się w kościele, ukląkł najpierw przed głównym ołtarzem i dość długo modlił się gorąco, potem obszedł wszystkie kaplice, w końcu obracając się do ojca, zapytał:

— A gdzie groby królów naszych? Muszę je widzieć.

Całe zachowanie się Bolcia w tym dniu było nadzwyczajne. Jak tylko lekarz powiedział, że będzie mógł wyjść do miasta, natychmiast zażądał by go ojciec wiózł na Wawel; w głosie zaś jego tyle było stanowczości, że ojciec bojąc się go drażnić, ani myślał odmówić. Usłyszawszy teraz drugie życzenie syna, posłał coprędzej po dozorcę grobowców, który w kilku minutach zjawił się z pękiem kluczów.

Gdy się w podziemiach znaleźli, chłopiec zatrzymywał się przed każdą trumną z osobna, coś sobie szeptał, jakby przypominał, ukląkł na środku, pomodlił się, za jego przykładem poszli wszyscy obecni, a w końcu biorąc Wandzię za rękę, rzekł:

— Chodźmy!

I wrócili do domu, ale razem we trójkę wracali raz ostatni. Bolciowi szybko zaczęło się pogarszać i do kilku dni skonał na ręku siostry, cicho, bez jęku i skargi. Duch jego uleciał, aby połączyć się z duchem matki.

Wandzia przygotowana jego własnemi przepowiedniami na ten cios nowy, zebrała wszystkie siły, aby nie poddać się boleści, bo jej ojciec zostawał, dla którego żyć potrzebowała. Ojciec

przygotowywany przez lekarzy na śmierć syna, w kilku dniach bardziej jeszcze posiwiał i bardziej się pochylił, lecz żył, bo mu córka została, dla której żyć musiał.

Na tym świecie szerokim było ich więc odtąd tylko dwoje... Za sobą zostawili krzyż na ziemi obcej — przed sobą zatknęli krzyż na ziemi ojczystej. Czy ich Bóg wybrał, aby boleścią bezgraniczną za drugich pokutowali? (C. d. n.)

Szermierz pióra.

Powieść

WEDŁUG ORYGINAŁU OBCEGO PRZEZ H. W.

(C. d.) Servigny nie zdawał się nawet słyszeć tych słów ostatnich, oczy jego ścigały rękę doktora, która na dziennik wskazywała. Nagle zalśnił ogniem gorączkowym, jakby otrzymał w tej chwili dawno upragnione zadośćuczynienie. Dziennik leżał na fotelu, na którym zastał Joannę siedzącą.

— Wstydziłbyś się pan! — mówił doktor dalej, wpadając w zapał coraz większy. — Tak, tak, wstydź się pan być tak małodusznym, podczas gdy pańskie pióro wszystkich porusza, tysiące serc rozpłomienia!

Czoło profesora znowu się zachmurzyło jakiemś gorzkiem, bolesnem przypomnieniem.

— Moje pióro! — odrzekł powoli. — W chwili takiej, jak dzisiejsza, kiedy świat cały gorączkowo czynów wyczekuje i żąda, pióro musi być pogardzonem! Z całą moją nauką, której lata poświęcałem, stoję dziś niżej od Jakóbka. On swemi silnemi pięściami będzie bronić dzielnie ojczyzny, gdy ja mogę tylko umrzeć za nią! Winienem jednak wieczną wdzięczność lekarzowi sztabowemu za to, że zdjął ze mnie przekleństwo, które mi tak okropnie ciężyło! że przynajmniej w tym czasie przestanę być li pióra szermierzem!

Doktor potrząsł głową.

— Żebym ja też mógł się domyśleć, zkąd pan czerpiesz tę straszną gorycz? To tak brzmi, jakby pana kto śmiertelnie obraził tem słowem. Tak! tak! cała pańska natura zmieniła się teraz.

Servigny westchnął z głębi piersi, jakby chciał zrzucić z siebie ciężar niewidzialny, a powstając rzekł:

— Zapominam zupełnie, po co właściwie przyszedłem do pana. Czas nagli! Dziś wieczór do Brestu wracamy, zkąd jutro rano mamy odpłynąć. Chciałem pana prosić, żebyś raczył wziąć pod opiekę moje pomieszkanie i bibliotekę. W razie mojej śmierci, pierwszem rozumie się, rozporządzisz dowolnie, książki moje oddasz uniwersytetowi tutejszemu. Wiele jest dzieł drogocennych między niemi, ja je też odziedziczyłem po większej części.

— Dobrze! Ponieważ mam to uważać jako formalny testament — przerwał mu doktor — pozwolisz pan, że go poproszę na wszelki wypadek o adres jego krewnych. Dotąd nie śmiałem pana zapytać o nich. Zachowywałeś tak ścisłą tajemnicę co do twoich stosunków familijnych.

— Tajemnicę? Nie miałem nic do ukrywania, gdyż żadnych krewnych nie posiadam.

— Jakto! ani jednego?

— Zupełnie nikogo. Stoję sam jeden na świecie.

Mówił spokojnie, a jednak w głosie odbijał się smutek niewysłowiony. Doktor ze szczerem współczuciem ujął go za rękę, Servigny nawzajem serdecznie dłoń jego uścisnął.

— Jeszcze nie żegnam się z panem. Teraz odchodzę nie jedno uporządkować. Do zobaczenia dziś wieczór.

Poszedł. Doktor odprowadził go do samych drzwi i tam raz jeszcze serdecznie uścisnął. Profesor wszedł do przybocznego pokoju, który na kurytarz prowadził. Rysy jego miały znowu dawny wyraz łagodny i smętny, z którym było im najwłaściwiej; nagle zadrżał i w tył się cofnął — spostrzegł miss Forest.

Joanna nie opuściła dotąd miejsca przy oknie, nawet cokolwiek naprzód postąpiła, żeby jej nie mógł pominąć i wzrok na niego podniosła. Oczy Joanny nie umiały patrzeć czule i tęskno. Chociaż błysły kiedy ogniem niezwykłym, podobny on był zawsze do łuny zorzy północnej, odbijającej swe promienie we wiecznych lodowcach morza podbiegunowego. A jednak dziwnie głębokie były te ciemne źrenice. Nie miały uroku, który pociąga i czaruje, lecz miały siłę tajemniczą, zdradzającą dumę i wolę nieugiętą, przed którą dotychczas wszystko się korzyło, która była przyzwyczajoną panować nad ludźmi samowładnie. Rzadko bardzo patrzyła w ten sposób, ale wtedy pewną była zwycięztwa. Tym wzrokiem płomienistym zwyciężała upor żelazny ojca — a nie było to wcale łatwe zadanie! — przed tym wzrokiem zamilkł nieraz stary Atkins z całym swoim nieubłaganym sarkazmem — a ileż razy złamała nim także nader zimną i dumną naturę Alisona i widziała go prawie u nóg swoich! I teraz szło jej o zwycięztwo nielada! Chciała, pragnęła gorąco, zdobyć na tym człowieku krok pierwszy, dążący do pojednania. On jej tak stanowczo oświadczył, „że drogi ich nie zejdą się więcej", ale teraz powie jej ostatnie słowo pożegnania, musi powiedzieć! bo ona tego chce tak gwałtownie, jak jeszcze nigdy nie pragnęła niczego! Oczy jej płonęły ogniem djamentu, a po za tym zimnym blaskiem, czuć było promień cieplejszy, który może w chwili jednej zmienić zorzę północną na blask słoneczny, całą naturę ogrzewający.

Servigny zdawał się też ulegać tej sile tajemniczej, stał w miejscu nieruchomy, tonąc wzrokiem w jej źrenicach. Widział że czeka, spodziewa się słówka pożegnania. Szło z jego strony li o jeden krok, o jedno, jedyne słowko, może ostatnie na tym świecie, wszak żegna się ze wszystkimi na zawsze! Oczy Joanny zalśniły tryumfująco — w tej chwili niby cień padł na oblicze profesora, wszystkie nerwy w nim zadrgały a potem ściągnęły się kurczowo gotując do ostatniego oporu. Zwolna, jakby krok za krokiem wyrywać się musiał z tego koła zaczarowanego, ku drzwiom zdążał, wzrok ku ziemi chyląc, usta zacisnął bojąc się, żeby z nich nie uleciało słowo pożegnania, tłumione gwałtownie; pierś

podnosiła się ciężko bolesną walką wewnętrzną, jednakże obrażona duma męzka i tej pokusie nie uległa. Gdy już był przy drzwiach, ukłonił się w milczeniu, zimno, sztywnie, jak wtedy u stóp ruin i drzwi się za nim zamknęły. Dotrzymał słowa!

Joanna, jak gdyby zmieniła się w statuę marmurową, stała blada, niema, osłupiała. To za wiele! za wiele! Ona raczyła czekać, cały ten czas czekała, gotowa była podać mu dłoń pojednawczą, gotowa była odpowiedzieć pożegnaniem na pożegnanie, a to niesłychane z jej strony przezwyciężenie w taki sposób zostało przyjęte! Czegoż chciał jeszcze ten człowiek?! Czy żądał może, żeby go prosiła o przebaczenie?!

Przepraszać! Samo to wyrażenie wywołało w Joannie gniew i oburzenie bez granic. Tego ona pojąć nie umiała i nie mogła. Jej się zdawało, że patrzy na wszystko tak jasno, z tak zimną krwią oblicza naprzód każdą swoją czynność i słowo, czyż taka osoba może kiedy czego żałować, lub chcieć błąd naprawić? Czyż może się mylić lub unieść zanadto? Nawet w latach dziecięcych znosiła raczej w milczeniu karę najstraszniejszą, chodziła całemi tygodniami jak noc ponura, a nie dała złamać się w swoim uporze, nie wymówiła słowa „przepraszam“. Forest zanadto odczuwał w tem dziecku swoją własną naturę, żeby miał od córki wymagać tego, co sam jako poniżenie uważał. Myśl, że on na przeproszenie czekał, błysła tylko w jej głowie przelotnie i została ze wstrętem odrzuconą. Nie chciał pożegnania — dobrze! Niechże idzie bez niego na wojnę, na śmierć, gdzie mu się podoba!

Teraz wiedziała dokładnie, co go popchnęło na tę drogę niebezpieczną. Jaka gorycz była w tych słowach „przestanę być li pióra szermierzem“. To słowo nieszczęsne kotłowało w jego sercu całemi tygodniami! zdradził się z tem bolesnem uczuciem upokorzenia. Ono to było jedynym bodźcem dodającym mu energji i ochoty do przedsięwzięć nad jego siły! A jeżeli ulegnie, jeżeli zginie wskutek tych trudów, czyjaż będzie wina?

Joanna zaczęła szybko pokój przebiegać. Chciała zrzucić z siebie dręczące ją myśli, a pozbyć się ich nie mogła. Zdawało jej się, że ciągle słyszy jego głos taki smętny: „nie mam nikogo, stoję sam jeden na świecie.“ Przycisnęła ręką serce, jakby ból jego znalazł tam wierne echo; gdyby teraz stanął przed nią, kto wie?... W tem dawna złość i upor niepohamowany wybuchły w niej na nowo, chwyciła się oburącz za głowę, jakby pod naciskiem tej myśli pęknąć miała i na cały głos zawołała sama do siebie:

— Nie! nie! i jeszcze raz nie!

Poobiedzie przeszło nader szybko; wyprawiano dwóch odchodzących z rodzicielską troskliwością. Wreszcie wszystko było gotowe, upakowane, zamknięte, a z zapadającym zmrokiem, Jakóbek całkiem do drogi gotowy, stał przed państwem Etienne mnąc czapkę w rękach, z miną wcale niewesołą. Usta szerokie skrzywiły się boleśnie, z trudnością tłumił i połykał łzy, które gwałtem do ócz mu się cisnęły. Nic go nie potrafiło rozweselić i pocieszyć; ani spora sumka, którą mu wetknął doktor na pożegnanie, ani przyrzeczenie poczciwej doktorowej, że gdziekolwiek będą, nie zapomną o nich i będą się starali zasilać ich wszystkiem najpotrzebniejszem, według możności.

— Wstydź się Jacques! — zawołał wreszcie pan Etienne. — Czy to tak się na wojnę idzie, z tą miną pogrzebową, ze łzami w oczach? Myślałem, żeś odważniejszy!

— Cóż to pan myślisz, że ja się boję? — odrzekł Jakób oburzony. — Taż to dla mnie największe szczęście iść na wojnę z bronią przez plecy i walić co się wlezie, żeby aż trzaski z Prusaków leciały! Ale mój biedny, drogi pan! ten życiem przepłaci, nim zobaczy nieprzyjaciela!

— No, tego nikt naprzód powiedzieć nie może — uspokajał doktor, podczas gdy doktorowa chustką oczy przyciskając, zdawała się podzielać w zupełności zdanie Jakóbka. — Może lepiej wytrzyma niż my spodziewamy się wszyscy. Mówię ci raz jeszcze, że on wcale nie jest tak chory, jak sobie wyobrażasz, a przynajmniej życie w obozie oderwie go od studjów mozolnych, co zawsze można szczęściem nazwać.

— On tego nie przeżyje — utrzymywał Jakóbek smętnie głową potrząsając. — Przy pierwszym marszu zostanie w szpitalu, a jak tam mnie nie będzie, żeby go pielęgnować, to i umrze. A temu wszystkiemu — tu zwykła dobroduszność Jakóbka zmieniła się w wybuch gwałtowny, owej niedźwiedziej natury, jak pan Atkins utrzymywał i dokończył podnosząc w górę pięści zaciśnięte — winne te przeklęte Prusaki! Za mojego jednego pana, natłukę ja ich tuzin!

— No! no! czekaj przynajmniej, aż będziesz w jakiej bitwie — odparł doktor, cofając się mimowolnie przed tą groźną pantominą — w ogóle zaczekajmy! Może nie będziesz wcale potrzebował przynosić tak krwawej ofiary cieniom twojego pana. Przecie służył rok jako ochotnik, a nic mu się nie stało.

— Temu lat dziesięć! — tu znowu westchnął ciężko Jakóbek, zawsze bez nadziei. — Wtedy był zdrowszym, silniejszym, a mimo to podczas manewrów leżał w szpitalu. Cóż robić! już tu święty Boże nie pomoże! Adieu panie doktorze! Adieu pani doktorowo! — wyciągnął do obojga swoje wielkie niezgrabne ręce, a łzy już teraz nie dające się żadną siłą powstrzymać, płynęły mu całą strugą po licach. — Wyświadczyliście mi nie jedno dobrodziejstwo przez te trzy lata. Jeżeli wrócę, będę starał się wiernie i uczciwie wam to odsłużyć — jak nie — Bóg wam zapłać za wszystko!

Jeszcze raz wstrząsł swoją olbrzymią prawicą obie ręce podane mu z całą serdecznością i zbiegł ze wschodów za swoim panem, który już przedtem pożegnał oboje państwa Etienne, a teraz poszedł jeszcze na chwilkę do ogrodu.

Servigny stanął na samym krańcu ogrodu, oparty o bramę żelazną, patrzał przed siebie nieruchomy i zadumany na jedno miejsce w żywopłocie, teraz zupełnie suche, które go jedynie oddzielało od rzeki szumiącej. Słońce dawno już było zaszło, nawet odblask różowy

zgasł na horyzoncie; na niebie pierwsze gwiazdeczki zaczynały gdzie niegdzie migotać, między drzewami i krzakami kładły się już cienie głębokie, od rzeki pociągał chłodny wietrzyk wieczorny. Fale toczyły się cicho szemrząc tajemniczo. O! on tak dobrze rozumiał głos rzeki rodzinnej! I teraz wsłuchał się w tę słodką muzykę, co mu te fale szeptały? Czy zostawiały mu promyk nadziei, czy też go na zawsze żegnały?! Oprócz tej jego ukochanej rzeki, już go nikt przed odjazdem żegnać nie będzie.

Nagle zaszeleściało z przeciwnej strony, silniej jak liście na drzewach, jak gdyby jedwab przesuwał się po żwirze ścieżki, dały się słyszeć lekkie kroki kobiece, Servigny obrócił się żywo tknięty dziwnem przeczuciem. Przed nim stała Joanna, śmiertelnie blada, z oczyma w ziemię utkwionemi, z załamanemi rękoma, z wyrazem rozpaczliwym, jakby szło teraz o coś najstraszniejszego w jej życiu całem. Pierś podnosiła się gwałtownie, niby łkaniem wewnętrznym, usta drżały konwulsyjnie, jakby nie mogły wymówić w żaden sposób słowa żądanego. Wreszcie zmusiła je do posłuszeństwa i wyszeptała:

— Przyszłam prosić pana... o przebaczenie.

— Miss Forest! Joanno! — zawołał Servigny namiętnie — ale jej już nie było, uciekła pędem ku domowi, jakby gnana przez furje starożytne. Servigny chciał za nią pospieszyć, w tem zabrzmiał donośny głos Jakóbka:

— Panie profesorze! gdzieżeś pan na miły Bóg? Nie mamy już ani minutki do stracenia!

Teraz odjeżdżać! Nowy obowiązek żądał pierwszej, ach! a tak ciężkiej ofiary! Chwilę trwała walka wewnętrzna... potrafił i własne serce zwyciężyć.

— Idę! — odpowiedział głosem spokojnym. Pobiegł ku domowi. Pod winnemi liśćmi ganku noc już panowała; widno tylko było lekkie kontury wyniosłej jasnej postaci, która stała tam oparta o balustradę, cokolwiek naprzód pochylona. Profesor już się teraz nie wahał. Wymówił gorąco i czule słowo tak przez nią upragnione, słowo może ostatniego pożegnania:

— Bądź zdrowa!

VI.

Tygodnie i miesiące mijały, a walka zacięta nieustawała. Któż kiedy, choćby piórem najwymowniejszem, był wstanie opisać całą grozę wojny i ogrom nieszczęść, który ona na kraj sprowadza. Tem bardziej, gdy przeciwnik jest wyzwany, z natury zaś tak brutalny i nieubłagany, jakimi z dawien dawna byli i będą Prusacy. Straszna ta powódź sięgała coraz dalej w głąb kraju, niszcząc plon całoroczny, zabierając wszelkie zapasy żywności, rabując zamki i pałace prywatne, ogałacając nawet z pamiątek odwiecznych gmachy narodowe. Twierdza po twierdzy otwierała przed najezdcą swe bramy, krocie Francuzów szły do niewoli. Cała Francja wyglądała strasznie i smutno, jakby okryta całunem pogrzebowym.

Gdzie niegdzie trzymały się jeszcze małe oddziały Franc-Tireur'ów, zaczepiające wojska pruskie na własną rękę.

W wąwozach gór lub w prywatnych zamkach, przedstawiających częstokroć zaledwie słaby punkt obrony, kryli się ci dzielni ludzie, gotowi raczej dać się wystrzelać do jednego, niż iść z całym rynsztunkiem wojennym w sromotną niewolę.

Właśnie jeden z takich oddziałów znalazł schronienie tymczasowe w zamku B*, niedaleko miasteczka D*, do którego przenieść się musimy wraz z miss Forest i panem Atkinsem, naszymi dawnymi znajomymi.

Małe to miasteczko departamentowe nie leżało wprawdzie w obrębie głównych ewolucji wojennych, lecz i tędy przeciągały nieraz bądź transporta żywności z głębi kraju sprowadzane, bądź wozy z rannymi, którzy padli w mniejszych utarczkach. W chwili przybycia tu Amerykanów naszych, było też gwarno i pełno w miasteczku, a że nie obfitowało zanadto w hotele, więc nasi podróżni z wielką biedą i za bardzo znaczną sumę, zaledwie dostali dwie małe ciupki, bardzo wysoko i w bardzo lichym domu położone.

Nazajutrz po ich przybyciu, Atkins siedział na sofie w pokoiku Joanny, a ona stała w oknie otwartem, patząc na ulicę, którą znowu przeciągało mnóstwo ludzi, pieszo, konno lub na wozach jadących.

— Nie pojmuję, miss Jenny, jak możesz wytrzymać ten hałas! Czyż cię nigdy nie zmęczy patrzeć na te roje ludzi snujących się ulicą?

— Nie! — brzmiała odpowiedź krótko i zimno. W tej chwili Joanna wychyliła się za okno, wpatrując się przenikliwie w wóz rannymi napełniony. Każde oblicze z osobna objęła oczami — a były to twarze blade, znękane cierpieniem, i jeszcze za ostatnim wozem badawczym wzrokiem powiodła.

— No, to możesz się miss pochwalić mocniejszemi nerwami, niż moje. Co do mnie, wyznać muszę, że ta podróż zmęczyła mnie niezwykle. Błąkamy się po kraju tydzień blisko, tu nie puszczają, tam zatrzymują! Drogi popsute, mosty powysadzane w powietrze, noclegi w nędznych wioskach, gdzie zwykłe żołnierze, ci lub owi, popasali i rozumie się, nic do jedzenia nie zostawili! Jadamy też specjały, jakich dotąd w życiu nie kosztowałem, a najczęściej nic wcale dostać nie można. Na dobitek mamy błogą nadzieję, że gdziekolwiek na żwawą potyczkę natrafimy i wskutek tego zwycięzcy lub uciekający, gotowi nas zabrać ze sobą. Myślę, iż przekonałaś się miss dostatecznie, czy jest podobieństwem jeździć po terytorjum wojennem, goniąc za śladem spraw familijnych?

Joanna podczas tej długiej perory, okno zamknęła i usiadła na krześle.

— Że to jest podobnem dowiedliśmy, gdyż mimo tysiąca przeszkód, znajdujemy się w D* nakoniec, gdzie nas czeka ostateczne rozwiązanie.

— Lub zawód nowy! Ten ślad, to istny błędny ognik. Ledwie nam zabłyśnie, znowu przepada, aby nas wieść na nowe manowce. Nicbym się nie zdziwił, gdyby nas nagle do Ameryki odesłano, a przynajmniej napowrót do poczciwego, spokojnego miasteczka L*, gdzie nam tak

dobrze było. A my — o niewdzięczności ludzka — nie umieliśmy uznać tego.

— Mniejsza o wszystko! — dorzuciła Joanna ze zwykłą energją. — Przyrzekłam ojcu umierającemu, że jeżeli mój brat żyje, odszukam go, choćby mi przyszło walczyć z największemi trudnościami. Dotrzymam słowa!

— Gdybyśmy przynajmniej ścigali ślad rzeczywisty z taką mozołą. Ależ gonimy za człowiekiem, który tym drugim chłopcem miał się zajmować i rzecz nader wątpliwa, czy będzie co wiedział o jego bracie przybranym.

— Zawsze jeden, jedyny, który nas może objaśnić. Ksiądz wpadł jak kamień w wodę, mimo wszelkich usilności, nic się o nim nie dowiedzieliśmy. Dobrze więc, że się przynajmniej tego rzemieślnika trzymamy.

— Zapewne dowiemy się od niego, że szanowny siostrzeniec jest w armji lub w niewoli pruskiej. Teraz kogo w całej Europie znaleźć nie można, ten w jednem lub drugiem wojsku pewnie się znajdzie.

Oczy Joanny spojrzały na Atkinsa ponuro i z wyrzutem.

— Zapominasz pan o najważniejszem, co nas tu sprowadziło. Gdy nam o tym rzemieślniku donoszono, utrzymywano, iż ci dwaj odsługiwali lata przepisane, że zawsze byli w stosunku dość ścisłym ze sobą, że do siebie pisywali. Dowiem się przynajmniej, że mój brat żyje jeszcze, jest ktoś na świecie, który od czasu do czasu zasięga o nim wiadomości, więc może mi wskaże gdzie obecnie przebywa. To więcej, niż spodziewałam się kiedykolwiek osiągnąć.

— Ależ ja to wszystko uznaję, niczemu chroń Boże nie zaprzeczam! — tłumaczył się Atkins, przestraszony groźną miną Joanny — tylko ośmieliłbym się twierdzić, że łatwiej nierównie byłoby prowadzić owe poszukiwania po wojnie skończonej.

Joanna podniosła głowę i zmierzyła Atkinsa wzrokiem co najmniej niełaskawem.

— Czekać aż do ukończenia wojny! — zawołała gwałtownie, — która wszelkie węzły i stosunki rozrywa, a ludźmi rzuca jak piłkami po świecie. Mam błogą nadzieję, że wiadomość nie przyszła za późno, ale nie było ani chwili do stracenia, a ponieważ w tym czasie ani marzyć nie można o prowadzeniu z kim korespondencji, nic mi więc nie zostawało, jak rozmówić się osobiście z owym rzemieślnikiem i dowiedzieć się od niego ile będzie można. Jeżeli pan cierpisz niewygody i znosisz trudy podróży, sobie tylko przypisz winę. Wszak chciałam sama jechać?

— I byłabyś to zrobiła. Tak, tak — westchnął Atkins ciężko. — Daruj miss, ale ta twoja energia żelazna, łamiąca wszelkie zapory, jest czasem przestraszająca! Ja też pewno nie należę do leniwych i niezdecydowanych, ale takie gonienie bez wytchnienia, za jednym i tym samym celem, wyczerpuje moje siły.

— A moje podwaja! — oświadczyła Joanna stanowczo. Powiadam panu, gotowam przekroczyć nawet granice tego, co ludzie możliwem nazywają, byle cel osiągnąć.

— Szczęściem przynajmniej, że ten stolarz, szanowny wuj młodego prawdziwego Haulina, nie podział nam się na razie i nie wymaszerował z Franc-Tireurami na wojnę, mimo swoich lat sześćdziesięciu. Wiesz miss, że chodziłem wczoraj do mera tutejszego, dowiedziałem się gdzie mieszka i poszedłem do niego. Wprawdzie dom był pusty, jak wymiótł, bo spodziewano się oddziału Franc-Tireurów, którzy się tu kręcą w okolicy, uważani przez całą ludność za zastęp bohaterów, a ich dowódcę mają za drugiego co najmniej Leonidasa. Otóż wszyscy wyszli na drogę, by ich powitać, w nadzieji odszukania między nimi niejednego krewnego lub znajomego. Zastałem jedynie w domu sąsiednim staruszkę wielce gadatliwą, która miała chęć najszczerszą mnóstwo rzeczy mi opowiadać; niestety! ja nie umiem po francusku, a ona ani słowa nie umie po angielsku. Byliśmy więc zmuszeni ograniczyć naszą rozmowę na mimice nader wymownej, za pomocą której dałem jej do zrozumienia, że przybywam w interesie do pana Erlong stolarza, jej sąsiada, a wuja pana Haulin, że dziś znowu powrócę, a tymczasem mogłaby mnie mocno zobowiązać, gdyby chciała oddać moją kartę, z naszym wspólnym adresem, temuż panu Erlong. Tyle udało mi się wyłożyć jej za pomocą giestów, a teraz oczekuję z ciekawością nieuniknionej konfuzji, która zapewne nastąpiła w umyśle staruszki, wskutek tak niedokładnej informacji.

Joanna spojrzała na zegarek.

— Dochodzi dziewiąta, myślę, że moglibyśmy już pójść.

(C. d. n.)

SZALONY.

I.

Na kolei w Stryju roiło się jak w ulu. Prócz kilkudziesięciu osób, spieszących do tego miasteczka na rzeczne kąpiele, pociąg lwowski przywiózł w tym dniu cały tłum żydów, wracających na szabas do domu. Gdy konduktor pootwierał wagony czwartej klasy, zaczęło się z nich wysypywać istne mrowie postaci nieczystych i obszarpanych, które dźwigając kosze, zawiniątka, poduszki, spieszyły przez peron, głośno hałasując. Wysiadłszy z mego coupé, zatrzymałem się chwilę przy drzwiczkach; właśnie wtenczas z wagonu czwartej klasy, wysiadał pewien izraelita lwowski, znany powszechnie jako miljoner.

— Pan do Stryja na kąpiele? — zapytałem.

— Nie... ja jadę na moje własne świeże powietrze.

Prawda! p. Kiczkes miał piękną wioskę niedaleko Stryja.

— Ale jakto się stało — znowu zapytałem — żeś pan przyjechał czwartą klasą?

— Czy jest piąta? — odparł pan Kiczkes tak naiwnie, że zawstydzony oddaliłem się coprędzej, żałując, że nie umiem jak on oszczędzać.

Przecisnąwszy się przez tłum w sieniach, znalazłem się po drugiej stronie dworca, w miejscu gdzie stają obszarpane dorożki, wózki i jakieś inne przyrządy, służące do wożenia ludzi, skazanych na podróż do Stryja.

— Z Nowego Sioła nie ma koni! Nie ma! — zewsząd wołano.

Że po mnie konie nie wyszły, o tem dobrze wiedziałem, chcąc bowiem żonie zrobić niespodziankę, przyspieszyłem mój powrót o dni kilka; nie moich też koni szukałem teraz, lecz jakiego wózka od biedy, w którym bym bezpiecznie mógł do domu zajechać.

— Może wielmożny pan do Schwama? Tam wszyscy panowie zajeżdżają! — wołał mały, pękaty żydek, usiłując wyrwać mi torbę, którą w ręce trzymałem.

— Pan hrabia zajedzie pod „Czarny Orzeł!“ Tam pan jenerał zawsze przychodzi! — krzyczał drugi, usiłując odtrącić i zepchnąć w błoto swojego współzawodnika.

— Idź do kata! — zawołałem — ja nie jestem hrabią!

— Czemu wielmożny pan nie ma być hrabią? Pan jeszcze lepszy jak hrabia!

Obawiając się, że krzykom i szarpaniom końca nie będzie, wskoczyłem na wózek najbliższy i kazałem wieść się do miasta. Dopiero tam oświadczyłem mojemu woźnicy, że mnie powiezie do Nowego Sioła.

Żyd z zakłopotaniem poskrobał się w głowę.

— Nie wiem jak to będzie... dziś wieczór szabas.

— Jedź tylko dobrze, a pewnie wrócisz.

Żyd pokręcił znowu głową, potem spojrzał na słońce, a zaciąwszy konie, ruszył z miejsca.

Na długim moście, zbudowanym w Stryju nad rzeką tego samego nazwiska, konie jakby wiedziały, że szybka jazda jest tu zakazana pod karą dwóch guldenów, wlokły się powoli, krok za krokiem, a pan ich chcąc im jeszcze ulżyć, zeskoczył z koziołka i obok nich szedł zamyślony. Zapewne dręczyła go niepewność, ażali wróci do domu na szabas — z drugiej zaś strony żal mu było pewnego zarobku.

Przy końcu mostu mój woźnica zawołał głośno i radośnie na człowieka, który ku nam zmierzał. Nadchodzący podniósł głowę, uśmiechnął się na pół wesoło, na pół idjotycznie i żydowi kordjalnie rękę uścisnął. Obadwa zaczęli z sobą po żydowsku rozmawiać, co słysząc konie stanęły.

Nieznajomy był wzrostu miernego i mógł mieć lat przeszło pięćdziesiąt; dzięki krępej i żylastej budowie ciała, w ruchach był zwinnym, prawie młodym. Na głowie jasnym włosem okrytej, rzadko gdzie pokazywała się siwizna, brwi długie, krzaczaste zwisały nad oczyma głęboko osadzonemi, a wąsy opadające zasłaniały mu usta. Ubior jego był dziwaczny: ani chłopski, ani mieszczański. Na głowie miał czapkę francuską, z daszkiem prosto stojącym; na ramionach wisiał surdut barwy czokoladowej, przymocowany pod szyją na kształt dołmanu węgierskiego; ponsowa kamizelka z guzikami białemi uderzała w oczy zdaleka, a wysokie buty z ostrogami starannie utrzymane, uzupełniały resztę odzienia.

Rozmówiwszy się z żydem, nieznajomy spojrzał na mnie i lekceważąco jednym palcem machnął koło czapki. Ruch ten miał starczyć za ukłon. Nie obraziwszy się wcale, odkłoniłem mu się uprzejmie, boć sam widok tego człowieka był dla mnie miłem zjawiskiem. Jego ruchy, ubior, mowa żydowska, choć na pierwszy rzut oka można było poznać, że nie był żydem, nareszcie dziwaczne spojrzenia, robiły go istotą niecodzienną, którą warto było spotkać i bliżej poznać.

— Wielmożny pan daruje — przemówił żyd do mnie — że dalej nie pojadę. Ja muszę wrócić do domu, bo dziś wieczór szabas, ale mój przyjaciel, pan Bereźnicki, pojedzie za mnie. On w całym Stryju najlepiej powozi.

Pan Bereźnicki podziękował Moszkowi za komplement i zaufanie serdecznem ręki uściśnieniem, a skinąwszy mi znowu palcem, wskoczył jak kot na kozieł.

— Hej kary! Dalej siwy! — krzyknął głosem piskliwym, a świsnąwszy batogiem, ruszył ku Słobódce co koń wyskoczy.

II.

Przed karczmą w Słobódce konie w miejscu osadziły.

— Pan dobrodziej lubi piwo? — zapytał dziwaczny woźnica, pół ciałem ku mnie się obracając.

— Jak czasem... jeżeli dobre.

— O! tu dobre, słowo honoru, bardzo dobre! Ja panie dobrodzieju tak lubię piwo, że gdybym mógł, piłbym od rana do wieczora.

— To każ sobie dać.

— Hej, żydzie! piwa dwie szklanki! — krzyknął Bereźnicki na żydka przy drodze stojącego, a gdy ten przyniósł piwo, podał mi jednę szklankę, drugą zaś wziął sam i trącając o moją rzekł: — Na zdrowie panie dobrodzieju

Wypił, rękawem usta sobie obtarł i nie czekając aż mi żyd wyda resztę z dwudziestu krejcarów austrjackich, uderzył konie i zawołał:

— Furda kilka centów! Szkoda czasu, panie dobrodzieju! Teraz pojedziemy po kawalersku, po szlachecku panie dobrodzieju!

Po tych słowach stanął na wózku i balansując zręcznie jak linoskoczek, popędzał ciągle konie, które ponoś oddawna nie były w rękach tak energicznych. Biedne koniska wytężając resztę sił, biegły ku Wierczanom bezustannym galopem.

— Dajcie pokój biednym koniom — przemówiłem do mego woźnicy, szarpiąc go za surdut — gotowe popadać!

— Nic im nie będzie, panie dobrodzieju, nic! Przecie my nie pojedziemy jak z mazią. Jak Bereźnicki jedzie to aż ziemia drży!

— Bardzo to pięknie panie Bereźnicki, lecz jeżeli Moszko dowie się od kogo, jak bez litości obchodziliście się z jego końmi, to...

— To niech djabli porwą żyda psią wiarę! — przerwał mi szorstko, spuszczając cały grad batogów na grzbiety biednym zwierzętom.

— Czy godzi się tak wyrażać o swoim przyjacielu?

— O moim przyjacielu? — powtórzył Bereźnicki bezwładnie na kozieł upadając — czy doprawdy ja mam być jego przyjacielem?

Zmiana, jaka teraz w mówiącym nastąpiła, była tak nagła, tak dla mnie niepojęta, że mimowoli oddech wstrzymałem, jak gdybym chciał ukryć gwałtowniejsze mego serca uderzenia. Byłaż to obawa lub wrażenie niespodzianki?

Bereźnicki puścił lejce i batog, oddając konie ich własnej woli; potem obróciwszy się ku mnie, wsparł łokcie na koziołku i spojrzał mi w oczy.

Twarz jego była teraz mocno pomięta i blada; brwi złączyły się razem, usta lekko drgały, a oczy siwe z głębokich jam wyzierając, rzucały światło niepewne, fosforyczne, jak ogniki błędne. Wyraz jego oblicza był gorzki i bolesny.

— Więc pan doprawdy myśli, że Moszko jest moim przyjacielem? — mówił powoli od czasu do czasu głową potrząsając. — Czyż na tym świecie trudno o człowieka tak rozumnego, któryby przecie pojął, że Bereźnicki, szlachcic z dziada pradziada, nie może być przyjacielem takiego łakomego, brudnego żyda, który Chrystusa Pana ukrzyżował?

— Jeżeliś pan szlachcic i Bereźnicki się nazywasz, to czemu żydom się wysługujesz? Wszak już z tego, że mówisz po żydowsku, łatwo się domyśleć, żeś z nimi nie mało czasu spędził.

— Czemu się żydom wysługuję, czemu? Cha! cha! cha! Alboż pan dobrodziej nie wiesz, że mnie ludzie zrobili warjatem, szalonym! Słowo honoru, panie dobrodzieju, jakem szlachcic, jakem Bereźnicki, ja warjat! warjat!

Po tych słowach błysnął złowrogo oczyma, a chwyciwszy lejce i batog, krzyknął jak dawniej:

— Hej kary! Dalej siwy! Po kawalersku!... Po szlachecku panie dobrodzieju!

Przestraszone koniska wyciągnęły się jak struny.

III.

— Jak się macie Iwanie, czy wół wam już wyzdrowiał? Kaśka! Kaśka! a kiedy twoje wesele? Czy Semko wrócił z wojska? — Hryciu! czemuś uciekł ze dwora? Poczekaj! odstawią cię żandarmami. — Hej! panie przysiężny! pożegnajcie się z chałupą... z banku przedwczoraj przyszło do sądu, żeby wam za dług zlicytować grunt i chałupę. A nie mówiłem wam, kiedy czas był jeszcze, że to bank złodziejski. — Pałachna, a tobie co? Kto ci oko podbił? Pewnieś się upiła w karczmie! — Ej! ty dzieciaku nie płącz się po drodze, bo cię przejadę! Twojej matce dałbym sto batogów, że cię puszcza na drogę!

Tak przemawiał pan Bereźnicki do włościan, gdyśmy przez wieś jechali. Chłopi uśmiechali się do niego, niektórzy nawet kapelusze zdejmowali, lecz on żadnemu się nie odkłonił, ani nie czekał, by mu odpowiedziano na jego zapytania.

— Jak widzę — przemówiłem za Podhorcami do mojego woźnicy — to Bereźnicki zna tu każdego człowieka.

— Nie tylko człowieka, każdą krowę, każde cielę, każdego wieprzaka! Na trzy mile dokoła Stryja wiem panie dobrodzieju, ile każdy gospodarz ma gęsi.

— Na cóż tych wiadomości?

— Na to panie dobrodzieju, aby wszystko mieć w małym palcu. Oho! ja lubię mieć wszystko w małym palcu. Potrzebuje Moszko furmana, Bereźnicki jedzie; potrzeba kogo posłać z miasta z depeszą o trzy mile, Bereźnicki idzie, choćby na dworze była północ, a deszcz lub śnieg oczy zasypywał; nie ma woźnych w sądzie, a potrzeba rozesłać dużo papierów po wsiach okolicznych, Bereźnicki niesie wszystko pod pachą; potrzeba być pomocnym przy jakiej licytacji lub ściąganiu podatków, Bereźnicki jest także, bo on wszystko ma w małym palcu, on wszystko umie, on do wszystkiego!

— To bardzo pięknie, że pan Bereźnicki bierze się do wszystkiego... Czy jednak nie byłoby lepiej poświęcić się jednemu zawodowi? Czy takie życie nieporządne, rozerwane, może sprawić przyjemność? Wszak każdy człowiek powinien mieć jakiś cel przed sobą.

Jak wtedy, gdym go nazwał przyjacielem Moszka, tak i teraz mój woźnica z człowieka jak na swój wiek zbyt wesołego i roztrzepanego, stał się od razu starcem złamanym i zamyślonym.

Właśnie byliśmy na wyżynie, łączącej Podhorce z Komarowem. Dzień był przepyszny czerwcowy. W złotem słońca promieniu kołysały się szare łany żyta obok jarzyn szmaragdowych; kosarze dzwonili na łąkach wesoło, obok nich bociany przechadzały się poważnie; przepiórki biły się w jęczmionach, a bydło rycząc wracało z pastwiska na spoczynek południowy. Powietrze było tak czyste, tak przejrzyste, że po za sobą widziałem wszystkie kontury Karpat, z ostatniemi szmatami białego śniegu; na lewo zaś wzrok gonił wzdłuż równiny kilkomilowej, zasianej wioskami i lasami, między któremi jak cienka nić biała, wiła się rzeka Stryj, dążąca tędy do Dniestru.

Bereźnicki zatrzymał się w pobliżu krzyża, znajdującego się w tem miejscu i spojrzał na równinę. Tajemniczy ten człowiek tak mnie zajął, że z największą chęcią poddałem się jego kaprysowi i wyskoczywszy z wózka, stanąłem tuż przy nim. On siedział ciągle na koziołku, spoglądając przed siebie, a że z rąk bezwładnych lejce mu wypadły, więc biedne koniętą skorzystawszy z rzadkiej w ich życiu sposobności, zwiesiły głowy, aby skubać trawę nad rowem.

Z oczu mojego woźnicy zaczęły łzy padać, które jak groch toczyły się po jego zmiętych policzkach.

IV.

— „Pan mnie pytasz — przemówił po chwili — czemu nie poświęciłem się jednemu zawodowi i czemu się żydom wysługuję? Alboż ja wiem, dla czego tak się stało? Powiedz mi raczej ty, mój młody panie, czemu są ludzie nieszczęśliwi, chociaż na to nie zasłużyli, czemu pokutują ci, którzy nigdy nie grzeszyli? Ja sam nie raz długo, bardzo długo nad tem myślałem, ale chociaż głowa mi pękała, nie umiałem sobie odpowiedzieć. Ludzie mną gardzą i warjatem zowią; ja sam czuję, że w głowie coś mi się popsuło, bo czasem gdy wszyscy płaczą, ja śmieję się jak szalony, a gdy śmieją się inni, ja płaczę nie wiedząc dla czego. Czy wiesz pan jednak, że i ja byłem innym, a nie zgrzeszywszy niczem, zostałem takim, jakim dziś jestem? Smutno to powiedzieć, mój młody panie, bardzo smutno, że człowiek cierpi nie raz niesprawiedliwie.“

Rzekłszy to pan Bereźnicki ukrył twarz w obu dłoniach i dość długo trwało, zanim głowę podniósłszy znowu mówić zaczął:

— „Widzisz pan tę wioskę hen! hen! za rzeką, gubiącą się w szarej mgle na końcu widnokręgu? W tej wiosce

przed laty pięćdziesięciu ja na świat przyszedłem. Mój ojciec był szlachcicem zagrodowym, miał dom, porządne budynki i pięćdziesiąt morgów ziemi. Matki nie pamiętam, ta umarła, zostawiając mnie dzieckiem dwuletniem. Gdym dziesiąty rok ukończył, ojciec oddał mnie do szkół do Lwowa, ażebym się czegoś nauczył. Tam poznałem bliżej pana Henryka, syna właściciela naszej wioski. Henryk był moim rówieśnikiem, a chociaż ojciec jego był zamożnym obywatelem, mój zaś chudziną, znajomość nasza zmieniła się wkrótce w przyjaźń serdeczną. Henryka poznałem jako chłopca dobrego, uczynnego i jeżeli co mnie w nim raziło, to chyba upor, którego niczem nie było można usunąć. Gdy czego zapragnął, choćby na oko rzeczy prawie niemożliwej lub jemu samemu szkodliwej, póty się o nią starał, póki jej nie osiągnął. On to nazywał siłą woli, a mnie się zawsze zdawało, że był to tylko upor. Pamiętam raz w maju zachciało mu się słowika. Mieszkaliśmy wtedy pod zamkiem i w ogródku naszym mieliśmy kilka słowików. Henryk, któremu nie wystarczał spiew słowika pod oknami w ogrodzie, on bowiem chciał go mieć koniecznie w swoim pokoju w klatce, tak długo błądził nocami za biednym ptaszkiem i tyle nań rozmaitych sideł ponastawiał, że w końcu złapał słowika. Z miną tryumfatora przyniósł go do naszego pokoju, a chociaż po trzech dniach biedny ptaszek spiewać przestał, Henryk go nie wypuścił, bo mu się ciągle zdawało, że słowik chwilowo głos stracił. Piątego dnia rano, znaleźliśmy w klatce słowika nieżywego. Wtedy Henryk spłakał się serdecznie i własną ręką pochował ptaszka w ogrodzie... Czy jednak potrzeba było tych łez i tej usługi ostatniej? Czyż nie byłby lepiej zrobił, gdyby go był wcale nie łapał?

Ośm lat przesiedzieliśmy na jednej ławce i dziwnym zbiegiem okoliczności równocześnie obadwa opuściliśmy szkoły. Mój ojciec straciwszy siły przedwcześnie w ciężkiej walce z losem, życzył sobie, bym coprędzej objął gospodarstwo, zwłaszcza, że siostra moja, która w tym czasie dorosła, potrzebowała opieki brata i jego nauki; ojciec zaś Henryka, wybierając się na dłuższy czas do Paryża dla poratowania gasnącego wzroku, wzywał syna na wieś, aby ten w jego nieobecności był matce pomocą.

Tak więc wróciliśmy razem do naszej wioski. (D. n.)

RÓŻNOŚCI Z KRAJU I ZE ŚWIATA.

Lwów. Gabinet rycin, który stanowi jeden z najbogatszych i najcenniejszych działów muzealnych Zakładu im. Ossolińskich, został uchwałą Kuratorji otwarty.

— Zarząd lwowskiej kasy oszczędności przeznaczył na rzecz powodzian szegedyńskich 1000 złr. Rada miejska również 1000 złr.

Wiedeń. Przygotowania do obchodu srebrnego wesela pary cesarskiej postępują energicznie, będzie to jedna z najwspanialszych owacyj.

Berlin. „Biała dama“ ukazująca się wedle podania w berlińskim zamku królewskim zawsze w przeddzień śmierci w rodzinie Hohenzollernów, ukazała się rano w wilię zgonu księcia Waldemara. Dzienniki berlińskie opisują to zdarzenie jak następuje: „Jeden z posterunków, ustawionych na krużganku zamkowym, miał w nocy z wtorku na środę zbiedz z warty i wpaść przestraszony na odwach ze słowy, że widział w zamku białą postać. Żołnierza przyaresztowano za bezprawne opuszczenie posterunku, lecz przy przesłuchaniach nie można się było nic więcej od niego dowiedzieć, jak tylko, że na widok białej osoby taki go strach opanował, iż nie mógł dostać na miejscu.

Poczdam. Złożenie do grobu zwłok księcia Waldemara odbyło się w tutejszym kościele. Byli obecni cesarzowa, następca tronu i wielu książąt z rodziny królewskiej, wszyscy ministrowie, jenerałowie, naczelnicy władz i wielu innych znakomitych osób. Mowę wypowiedział kaznodzieja katedralny dr. Kögel. Dano 12 strzałów.

Wiedeń. W salonach ministra Ziemiałkowskiego odbył się świetny wieczór, na którym byli obecni wszyscy ministrowie. Ogólną uwagę zwróciła trzynastoletnia pianistka, Marja Majewska, produkująca się na tym raucie z wielkiem powodzeniem.

Kraków. W katedrze wawelskiej stanął ozdobny pomnik ku czci zasłużonego męża, księcia Jerzego Lubomirskiego, jednego z założycieli akademii.

— Rada miejska asygnowała sumę 500 zł. na powodzian szegedyńskich.

Poznań. W majętności Turwi zgasł Dezydery Chłapowski, b. jenerał wojsk polskich. Chłapowski syn starosty urodzony był z Mosmenskiej w r. 1789. Wstąpiwszy za młodu do szeregów, został rychło oficerem ordynansowym Napoleona, później dowódcą szwadronu gwardji, wreszcie jenerałem. Od lat wielu usunął się z widowni głośnego życia i oddał się roli, pisząc liczne dzieła z dziedziny gospodarstwa.

Paryż. Na rozszerzenie konserwatorjum muzycznego wyznaczył rząd ośm milionów franków. Będą przebudowane nowe sale wykładowe, mieszkania dla pensjonarzy i specjalna sala teatralna dla trajedji i komedji. Roboty mają być ukończone w ciągu trzech lat.

Wiedeń. Władza policyjna wydala z miasta jednego po drugim niebezpiecznych lichwiarzy.

ECHO Z SZEGEDYNU.

Ostatnie telegramy donoszą, iż woda opada ciągle lubo bardzo zwolna.

Powietrze poprawia się nieco.

Stan wszakże sanitarny miasta budzi obawy.

Mnóstwo gnijących w wodzie zwłok może wyrodzić epidemję.

Wszystkie błąkające się psy i koty pozabijano z obawy, ażeby nie uległy wskutek zaniedbania wodowstrętowi.

Z zalanych domów wynoszą teraz, co jeszcze ma jąką wartość.

Zamoczone towary, sukna, płótna i galanterje sprzedają kupcy za bezcen, aby odbić sobie choć cokolwiek.

Władza nakazała oddawanie wyłowionych z wody przedmiotów do 24 godzin, w przeciwnym razie zatajający je uważani będą za złodzieji.

Było już kilka przykładów kradzieży.

Jednego z pochwyconych zbrodniarzy powieszono.

Z Wiednia przysyłaną jest nieustannie wielka ilość bielizny i rozmaitej odzieży.

Dotąd nadeszło przeszło 50.000 bielizny.

Przeszło pół miljona guldenów oddano też na ten cel w gotówce.

Dowóz żywności do Szegedynu jest tak znaczny, iż władze są w kłopocie, gdzie ją składać.

KILKA PYTAŃ I ODPOWIEDZI

— Co to jest baran?

— Mały akcjonarjusz wielkiego towarzystwa.

— A co jest nieskończoność?

— Edykta banku włościańskiego w Gazecie lwowskiej.

W drukarni narodowej W. Manieckiego przy ulicy Grodzickich l. 4.